

Andrzej Mencwel

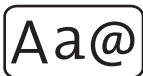
Łączko, łączko, łączko zielona...

Autobiografia. Literatura. Kultura. Media nr 1 (4), 127-147

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



ANDRZEJ MENCWEL

Łączko, łączko, łączko zielona..

Dziadek Gawron nie był wysoki, jak prawie wszyscy oni tutaj dawniej, ale wydawał się olbrzymkiem, i to nie przez prostą siłę fizyczną, lecz przez szczególny energetyzm osoby, którym emanował i otoczeniu się narzucał. Miał w sobie coś gnomicznego, co tę jego nie-dużą figurę, złożoną głównie z kości i mięśni, czyniło cieleśnie sprężystą od stóp do głowy, którą innych przerastał, gdyż wydawała się wzniesiona ponad jego przyziemny wzrost. Siły fizycznej w tej żylastej powłoce też nie brakowało, gdyż będąc samowystarczalnym rolnikiem z niewielkim, jak cała jego dziedzina, przychówkiem, z dorodną jednak kasztanką, którą czasem ułańsko dosiadał, był też uznanym kowalem, o co nie było łatwo, bo prawie każdy chłop trzymający konia, pługi i brony był wtedy po trosze kowalem. Gawron jednak nie walił prostacko, jak byle osiłek, młotem w żelastwo, lecz miał w osobnej przybudówce właściwy warsztat, z różnymi imadłami, cęgami i *cinakami*, a także z węglarskim paleniskiem i miechem z byczej skóry, którym dymał zawodowo. Jego kowadło miało, jak należy, dwa rogi, ostry i kwadratowy, a wykuwał na nim nie tylko podkowy i hacele, ale również winkle okienne i zawiasy figurowe. Ciągnęli więc do niego w potrzebie sąsiedzi z jednej i drugiej wsi, położonej za torami, nawet z leżących w borze posiołków, w których miał zresztą jakichś pociotków, a on odkuwał im przyrządy i narzędzia tak, że iskry tylko buchały i syczały hartowane żelaza. Podstawowymi narzędziami rolniczymi były wówczas żelazny pług konny ze stalowym lemieszem i żelazna również brona z zębami przykutymi do poziomej kratownicy. Jeszcze za naszego tam nastania można było u okolicznych, biedniejszych gospodarzy zobaczyć brony drewniane, właściwie *bronowłóki*, gdyż dawniej tutaj pola włóczono, a nie bronowano. Wyszły już one z użycia i wykupywali je miastowi rezydenci, jeden taki capnął mi sprzed nosa prawdziwą perłę, mającą rzetelne, grabowe zęby, misternie przytroczone do poziomicy jałowcowymi witkami, czyli *batkami*. Otóż ze sposobienia owych żelaznych bron oraz kucia lemieszcy sływał nade wszystko dziadek Gawron i dlatego odpowiednią porą, czyli

u schyłku lata i zimy, przed jesiennymi lub wiosennymi pracami polowymi, walili do niego okoliczni rolnicy, a on tylko litanijnie powtarzał swoje porzekadło:

– Psynies’ grude węgla do tego twojego lemiesa!

Czy na ten węgiel całkiem nie było go stać, czy też sobie tym sposobem ściubił go na zimę – tego nie wiem, bo przy tym nie byłem, a tylko przytaczam sąsiedzkie gadki. Na pewno w tej puszczańskiej stronie od wiek wieków ogrzewano się drewnem, i to głównie chrustem, więc każdy worek węgla był darem odświętnym, za dawnego reżimu kupowało się go na przydział, zależny od wykonania dostaw obowiązkowych, za nowego tak zdrożał, że prawie nikt go nie kupuje. I w naszej zmodernizowanej wsi, w której mamy wodociąg, gaz, internet i telewizję kablową oraz oświetlony rzędem latarni chodnik, niestety z betonowej kostki, nie z kamienia polnego, jakbym wolał, w każdym prawie obejściu, nad lśniącymi karoseriami sprowadzonych z Niemiec limuzyn, górują piramidalne sęgi drewna opałowego, obrabianego własnym przemysłem, to znaczy piłą teraz mechaniczną i siekierą nadal ręczną, jak w neolicie, rozłupującą. Całkiem ostatnio pan Tadzio, przyjazny sąsiad z zatorza, okazał mi nową samoróbkę, elektryczną mianowicie maszynkę, łupiącą pieńki na szczapy masywnym stożkowym wiertłem, więc epoka kamienna, można powiedzieć, w tych właśnie dniach, dobiega u nas ostatecznego końca. Jakoś szczególnie lubię tutaj tę rozpiętość warstw czasowych i kulturowych, w zderzeniu przedmiotów i czynności: siekiera z neolitu – telefon komórkowy, kosa średniowieczna – komputer osobisty, grzyby z gospodarki zbierackiej – samochody, z których się je sprzedaje. Coś ona znaczy, ta rozpiętość, niekiedy nieomal niebotyczna, jakby tutaj między neolitem a internetem brak było historycznych ogniw pośredniczących, albo, co może bliższe prawdy, że zostały one przed wiekami tak osłabione, iż nie zachowały się dość wyraźnie i musimy dopisywać sposoby ich istnienia. Kto może wiedzieć, jak działał tu dawniej wpływ miasta, skoro miasto to ciągle pozostaje mutacją wsi ulicówki?

Dziadek Gawron za swoje usługi kowalskie należności odbierał przeważnie w naturze, to znaczy w usługach wzajemnych, choć jego gospodarska autarkia przekraczała utarte tutaj normy, walutą zaś przezeń uprzywilejowaną była paczka papierosów, bo paląc jak smok, odpalał jednego od drugiego, a przy robocie nie wiadomo było, czy to on dymi, czy też paleńsko. Lemiesz przy tym odkuwał tak ostre, że caliznę, żwirowatą tutaj i kamienistą, kroili jak masło nożem i do dziś wdzięcznie wspominają je ci, którzy dziadka pamiętają, a rolę uprawiali tymi pługami.

Mnie to on właściwie dopadł prawie zaraz po przyjeździe, na naszym podwórku, gdy rąbałem naręcze drewna, aby rozpalić pod kuchnią, bo pora była wprawdzie wiosenna, lecz niezamieszкана od poprzedniego lata chałupka trzymała jeszcze zamróz w ścianach. W płatanie drewna wprawiony byłem od lat chłopięcych, gdyż mieszkalem w domu miejskim, lecz z piecami kaflowymi i do mnie należało przygotowanie rozpałki, przekonany byłem nawet,

że jestem w tym bardzo dobry, bo na różnych obozach i rajdach obsadzano mnie zwykle przy ognisku, albo też sam się do niego przepychałem, w końcu facet ochoczo wywijający siekierą jest ikoną męskości, jak świadczą o tym toporni twardziele westernów, z Charlesem Bronsonem (*Siedmiu wspaniałych*) na czele, oraz miękki wrażliwiec Edward Stachura, zwany Stedem, autor hymnicznej *Siekierzady*. Waliłem więc mocno siekierą tę naszą pierwszą tutaj rozpałkę, pobudzany przez archaiczne moce budzące się podczas nowych osiedlin, ale szło mi tępo i ściągnięte z lasu sosnowe i dębowe konary, pozostałe po niedawnej wycince, niczym wrogie tarcze odbijały ciosy mojego topora. Nagle, jak spod ziemi, pojawił się przede mną dziwotwór z rozwianą, pod kaszkietem, siwą czupryną i równie siwymi, sumiastymi wąsami, których pękate końce zwisały mu do ramion, od góry ubrany pół miejsko, w koszulę z kołnierzykiem i zapinaną na guziki kamizelkę, od dołu pół wiejsko, w cajgowe portki wpuszczone w kamasze. Jak samorzutnie się znalazł, tak swobodnie wyjął mi stylisko z rąk, machnął nim błyskawicznie, zanim zdołałem pojąć, co się dzieje, i z widoczną lekkością, jednym celnym cięciem, rozplątał ten konar, od którego parokrotnie się odbiłem. A potem rzekł:

– Udezaj skosem somsiedzie, nie na prostkę, to ci nie odbije!

I tak szczególnie oto zawarliśmy znajomość, która przeszła w pewną zażyłość, niełatwą, ponieważ ekspresyjny, jak widać, dziadek, był jednocześnie powściągliwy i podwójną trzeźwością od innych odgradzony. Nie pił nigdy żadnego alkoholu, nawet domowego piwa nie brał do ust, które zarazem miał pełne barwnych bająn i mądrościowych porzekadeł. Nigdy jednak nie mówił bezpośrednio o sobie i wszystko, co o nim wiemy, pochodzi z przekazów pośrednich lub z domysłów. Zażyłość nasza, ledwie się zawiązała, to i ustała, gdyż życie dziadka Gawrona, jednej z najbardziej niebываłych osobistości, jakie udało mi się spotkać kiedykolwiek, okazało się nadspodziewanie krótkie i zszedł on z tego świata w okolicznościach naprawdę przykrych, które ciężko wspomnieć, jakieś dwa lata po naszych osiedlinach i zawarciu przyjaznej znajomości. Sąsiedztwo to również było osobliwe i nie przypominało powszedniego, wiejskiego sąsiedowania przez wspólny płot i przysłowiowego zaglądania sobie do garów i alkowy. Chałupka nasza bowiem, podobnie jak sadyba Gawrona i jeszcze dwie inne, w tym jedna spalona podczas wojny, leżały na tak zwanej kolonii, co oznaczało, że położone były prawie kilometr od dość gęstej zabudowy wiejskiej ulicy, będącej obecnie szosą przejezdną, na skraju pól i obrzeżach lasu, z widokiem na łąki, wieś i żwirowe wzgórze za wsią. Sadyby te ponadto były od siebie oddalone i zanim się do kogoś zająrało, trzeba było przejść paręset metrów drogą lub miedzą, a przybliżając się, wywołać ostrzegawcze szczekanie psów, gdakanie kur i syk gąsiorów. Między nami a Gawronami wiodła również dróżka przez las i to pewnie tamtędy przeszedł niepostrzeżenie dziadek, gdy zaskoczył mnie z toporem w rękę. Psa jeszcze nie mieliśmy, wzięliśmy go z przytułku dopiero latem, szczeniaczka od matki z koszyka, tak słabiutkiego, że na pierwszych spacerach padał z nóg i musieliśmy go

nosić na rękach. Puc, jak go nazwaliśmy ze wspomnienia dziecięcej lektury¹, wyrósł potem na rączego, zmyślnego biegusa, uznawanego przez nas za najmądrzejszego psa świata, choć Kruczek, pies dziadka Gawrona, pretendował również do tego miana. Były to rasowe kundle niezrównanej piękności, a nie charty czy ogary, choć jeden z nich był niewątpliwie kusy, a drugi sokoli. Dość na razie o tych psach, bo mogę o nich nieskończenie, teraz o samej kolonii.

Była ona tworem dość nowym, gdyż zaledwie przedwojennym, co jak na osiemset lat osiedlin w mazowieckich puszczech jest czasem krótkim, prawie jego mgnieniem. Dziejowa przeszłość takich siedlisk jest więc dłuższa niż historia przemysłu tkackiego w Polsce i niepomernie bardziej złożona, można się w niej pograć doszczętnie i nigdy z niej nie wydobyć, gdyż trzeba by księcia Konrada jednoznacznie rozliczyć ze skutków sprowadzenia Krzyżaków na pogranicze pruskie, czego nie udało się dotąd dokonać i nie uda się nigdy. No i jeszcze zagrodowych, szlacheckich Mazowszan, przynajmniej ich rycerskich przodków, rozrachować z doszczętnego przed wiekami wytępienia Jadźwingów, których jedynym żywym śladem, jak twierdzą uczeni lingwiści, jest powszechnie tutaj w mowie mazurzenie. Zawsze mnie bawią ci, co oczekują od historii wyroków ostatecznych, czyli jak mówią, w swoim mniemaniu, bardziej uczenie – *definitywnych*, a powinni przecież wiedzieć, że te zapadną na Sądzie Ostatecznym, jedynym wyobrażalnym *Końcu historii*. Powszechnie jednak wiadomo, a dawniej należało to nawet do nauk szkolnych, że gospodarka chłopska u nas, o ile przez kilka wieków niewoli, oględnie nazywanej pańszczyzną, można ją w ogóle nazywać gospodarką, cierpiała na rozdrobnienie gruntów, co skutkowało nadmiarem gospodarstw karłowatych oraz tak zwaną szachownicą pól: pies jak przysiadł – mawiano – to ogonem zamiatał zagon sąsiada. Takie karłowate gospodarstwa ledwie żywiły swoich posiadaczy, toteż żyli oni nie w biedzie, lecz w nędzy, co poświadczają przedwojenne pamiętniki chłopskie oraz powojenna reforma rolna, upragniona przez tych, co od pokoleń cierpieli głód ziemi. Współcześnie jednak nie należą one tylko do skansenu zabytków, gdyż jeszcze po roku 1989 pisał o nich, jako o żywym nieszczęściu, niezrównany znawca tyłów wszystkich polskich fasad, Józef Kuśmierek. Podejrzewam, iż rzetelne wiadomości o ich obecnym stanie oraz ilości są tak zaszyfrowane, że właściwie ukryte, i dlatego nie udało mi się ich odnaleźć. W naszym sąsiedztwie dość niedawno żyła taka biedniacka rodzina, która jedyną swoją krówkę wypasała na przydrożnych rowach. Czasem zachodzili też na nasze perzowisko i było nam miło im usłużyć, tym bardziej że zawsze sprzątała po swojej życiodajnej krasuli. Ci najbiedniejsi dzisiaj nie są już tak widoczni, ale to nie znaczy, że ich nie ma – kryją się tak, jak ukryto wiadomości o nich.

Szachownica pól, z kolei, oznaczała, że sąsiadujący ze sobą gospodarze mieli poletka pokawałkowane i pokrzyżowane i nie tylko ich uprawa, lecz także dostęp do nich był utrudniony,

¹ Zob. Jan Grabowski, *Puc, Bursztyn i goście*, wydań wiele.

stając się zarzewiem licznych konfliktów. Miedze u nas zostawiano wąskie – pisał jeden z chłopskich pamiętnikarzy – bo szkoda było ziemi na próżnowanie, a zagony tak małe, że siać trzeba było z płachty na ręce, gdyż siewnik na nich się nie mieścił. Wychodząc z takiej, nie wymyślonej przecież empirii, można sobie wyobrazić typ idealny biednej wsi polskiej – mamy w niej same gospodarstwa karłowate, z gruntami rozdrobnionymi w przypominającą cmentarz gmatwaninę zagonków. Byłoby to więcej niż zarzewie nieustannych sporów o miedze, bo właściwie kłębowski bezwzględnej walki o byt, której emocje, racje oraz narzędzia mogły stawać się ekstremalne. Bliskie tego typu idealnego są podhalańskie Koninki z *Komorników* Władysława Orkana, a czyta się tę okrutną powieść ze ściśniętym sercem, gdyż oddala ona wszelkie sielskie konwencjonalizacje, także i te, które rozkwitły kilka pokoleń po niej, w estetyce nazwanej socparnasizmem. Maria Dąbrowska podobnie jak Orkan rozwarstwienie wsi знаła od podszewki i rozmyślnie zapewne bohaterami *Ludzi stamtąd* uczyniła tych, którzy znajdowali się na dnie: *bandosów, ciadrachów, dworaków*. Współczesna znawczyni wsi podhalańskiej twierdzi, że kilka hektarów gruntów rozrzucone w kilkanaście kawałków należy tam wciąż do normy². Jeśli chce się rozumieć, dlaczego tu i ówdzie od czasu do czasu chłopci nie tylko pańskich *dziadów piłą rznąli*, lecz także wobec siebie nawzajem bywali wyzyskiwaczami, trzeba taki typ idealny wciąż mieć na uwadze. Gdyż wskazuje on biegun, do którego rzeczywistość chłopskiej wsi nierzadko się staczała.

Trzeba na biegun ten zważać także wtedy, kiedy znajduje się wieś rzeczywistą położoną na jego antypodach. Otóż nasza wieś z odległej przeszłości wyniosła prawdopodobnie ten przywilej, że nie było w niej pańszczyzny, przynajmniej nie było jej stale, gdyż periodycznie zapewne, jak inne królewszczyzny, była oddawana w pacht czyjejs łasce pańskiej, a może – co lepsze i w co wolę wierzyć – jako puszczańskie sioło bartników wywiązywała się ze swych powinności czynszem w miodzie. Po uwłaszczeniu zapewne się umocniła, gdyż gospodarstwa chłopskie były tutaj zasadniczo dostatnie, z serwitutów korzystano swobodnie, czego przeżytki sam widywałem, w Polsce międzywojennej zaś, ściślej w drugiej połowie lat trzydziestych, przeprowadzono w niej tak zwaną komasację gruntów, czyli ich scalenie. Wieś polską trochę znam i to w różnych stronach kraju – w Wielkopolsce mam miejsca rodzinne, mieszkałem na Dolnym Śląsku i w Lubuskiem, zjeździłem Mazury i Podlasie, jestem obyty z podgórzem sudeckim i karpackim, a na Mazowszu żyję już lat kilkadziesiąt. I nigdzie nie widziałem tak zmyślnie i przejrzyście ułożonych działów rolnych, które chciałoby się malować lub przynajmniej lotniczo fotografować, aby pokazywać je potem światu jako przykład polskiej wsi nowoczesnej. Po jednej stronie drogi głównej za siedliskami gospodarstw wznoszą

² Anna Malewska-Szałygin, *Podhalańskie wyobrażenia o narodzie*. Referat przedstawiony na konferencji *Warianty (narodowej) tożsamości*, Instytut Kultury Polskiej, Uniwersytet Warszawski, 12–13 czerwca 2015.

się w górę, prawie jak wzrok sięga, równe pasma pól ornych poszczególnych gospodarzy, zaś po drugiej stronie podobnie schodzą w dół proporcjonalne pasma ich łąk. Dzięki temu każdy dziedzic miał pod ręką swoje dziedziny, nie musiał do nich dojeżdżać ani trzody daleko pędzać, będąc wolny od konfliktów wiążących się z takim dojazdem i przepędem. Żwirowe drogi nasze, śródpolne i śródleśne ponadto, są jak drogi do gwiazd, wójt zaś obiecał publicznie, że nigdy nie zaleje ich asfaltem, co jest wiejską plagą niemiecką. W okolicach Flensburga (Schleswig-Holstein), gdzie bywałem przed laty na letnich akademiach artystycznych, wsi już nie ma, gdyż nie ma zabudowań gospodarczych, a rozrzucone luzem, tonące w kwiatkach, rezydencje mieszkaniowe otaczają złote pola dorodnych zbóż. Żniwo zamawia się w odpowiedzialnej firmie usługowej, przyjeżdża z niej kombajn, który czystym ziarnem napełnia przyczepę podstawioną przez młyn, a słomianą targanicę wraz ze rżyskiem worywuje się potem w głąb. Do każdego z tych pól prowadzi jednak droga wyasfaltowana i nie ma tam gdzie postawić gołej stopy na miłej ziemi.

O pejzażu, w którym spędziliśmy długie lata tutejsze, piszę jednak w czasie przeszłym, gdyż i on się zmienia, co prawda wolno, lecz nieustannie i z naszego ganku nie patrzymy już na przedzielone miedzami pasma łąk, tylko na jedną wielką ich połąkę, która też cieszy oko, chociaż nie jest spółdzielcza, jak bym pragnął, lecz farmerska. Dalszą, północno-wschodnią ramę tego krajobrazu, powyżej wsi, zasadniczo dziś przebudowanej, bezstylowo, lecz dostаточно, błyskającej kolorowymi ścianami i dachami, zamykają posadzone ponad żwirowymi stawami, w ramach obowiązkowej rekultywacji, całkiem już rosłe zagaje. Nie tylko więc całe przestrzenie tego przyrodniczo naturalnego w swoim wyrazie krajobrazu zostały sztucznie, czyli kulturalnie, ustanowione, a nawet nasz ganek i archaiczna chałupka z siedliskiem oraz otaczającymi je polem i łąką nie są bynajmniej jakimś pradawnym kmiecym zagonem, lecz jednym z utworów przedwojennej komasacji gruntów i dlatego także tę komasację przypominam. W jej trakcie bowiem tym kmieciom, czyli gospodarzom pełną gębą, a także niektórym zagrodnikom, których działki śródwiejskie były zbyt małe, zagony zaś odległe od sadyb i nieporęczne do uprawy, stworzono poza wsią tak zwane kolonie, nadając im, pochodzące z wymiany i z parcelacji, grunta scalone. W ówczesnej Polsce przeprowadzenie, nawet tylko lokalne, takiej operacji reformatorskiej wymagało na poziomie władzy ideowej determinacji i politycznego uporów, na poziomie społeczności wiejskiej – wytrwałej perswazji i umiejętnej negocjacji. Przechodzi moje pojęcie to, jak można było dwóm skłóconym ze sobą chłopom, od pokoleń cierpiącym na niedostatek ziemi, wytłumaczyć, że wymiana ich sąsiednich lub rzuconych gdzieś tam działek będzie dla nich korzystna. Komasacja narzucana odgórnie budziła nierzadko czynny opór, geometrów, czyli skoczybrzdów, przepędzano kijami, siekierami rąbano nowe znaki działowe. Najlepiej udawała się tam, gdzie władze dodawały do niej jakieś areały. Pochodziły one z parcelacji dóbr państwowych lub rzadziej prywatnych,

o co, przez całe międzywojnie, toczyła się zażarta walka polityczna. Komasacji takiej w całej naszej okolicy dokonano jednak rzeczywiście, bo przy kilku wsiach sąsiednich powstały również kolonie, niektóre nawet weszły do nazewnictwa i mamy przysiółki formalnie nazywające się koloniami. Gospodarstwa scalone przetrwały wojnę, umocniły się w pierwszych latach powojennych, oparły potem przymusowi kolektywizacji, a po roku 1956, kiedy stopniowo racjonalizowano gospodarkę rolną, okazały się najbardziej wydajne. Inicjator i realizator tych reform przedwojennych, Juliusz Poniatowski, uważał, że tak zreformowane gospodarstwa chłopskie, a nie dominujące wówczas folwarki obszarncze, staną się podstawą nowoczesnego rolnictwa polskiego.

Ten Poniatowski jest mi bliski, nie tylko dlatego że korzystamy w tej wsi z owoców jego działań, lecz także dlatego że był przyjacielem Marii Dąbrowskiej i wielokrotnie pojawia się w jej *Dziennikach*. Przyjaźnili się od wspólnych lat studenckich spędzonych w Brukseli, należeli do tego samego niepodległościowego i demokratycznego stowarzyszenia „Leleweł” i tam zajęli się problematyką wsi, reform rolnych, spółdzielczości i oświaty ludowej. W Lublinie podczas pierwszej wojny redagowali pismo „Polska Ludowa”, potem Juliusz Poniatowski współtworzył Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie”, wielokrotnie zasiadał w jego władzach i wielokrotnie uczestniczył w różnych peeselowskich akcjach zjednoczeniowych. Był również legionistą, współpracownikiem Józefa Piłsudskiego, pierwszym ministrem rolnictwa w lubelskim Tymczasowym Rządzie Republiki Polskiej, a potem jeszcze kilkakrotnie kierował tym resortem, z czego najważniejsze były lata 1935–1939, kiedy to został „ministrem rolnictwa i reform rolnych”, a reformy te realnie, jak widać w naszej okolicy, przeprowadzał. Maria Dąbrowska, w roku 1937, więc w rytmie jego działań, napisała i wydała polemiczną książeczkę zatytułowaną *Rozdroże. Studium na temat zagadnień wiejskich*, skierowaną głównie przeciw ziemiańskiemu oporowi wobec reform rolnych³. A choć zastrzegła, że nie występuje w niej *jako rzeczniczka obecnego programu rządowego*, to niewątpliwie była polityczną sojuszniczką ówczesnego ministra, z którym zresztą chadzała na koncerty i spektakle. Uważała, że była w nim *wielka czystość i wzniosła naiwność, twarda prostota i rzadka wartość*. *Pan Juliusz*, pisała w jednym ze wspomnień, *był zawsze bardzo poważny i opanowany w wyrazach swoich uczuć. Gdy wziął się do odpowiedzialnych zadań natury politycznej, ta jego cecha jeszcze się spotęgowała. Wyczuwało się w nim tak wielkie napięcie i skupienie wszystkich władz ducha, że stał się od tego aż ponury i nieco sztywny w obcowaniu*. Pod wrażeniem tej opinii patrzę na jego nieliczne dostępne mi fotografie i widzę, że ma on w oczach moc, w korpusie zwartość,

³ Zob. Maria Dąbrowska, *Rozdroże. Studium na temat zagadnień wiejskich. Moja odpowiedź. Refleksje nad polemiką z „Rozdrożem”*. Poślowie Franciszek Jakubczak, Warszawa 1987. Pierwsze wydania odpowiednio: 1937 i 1938.

w grymasie ust jednak gorycz niespełnienia. Sam najlepiej wiedział, co mu się zrobić do nie-szczęsnego września 1939 udało, a czego osiągnąć nie zdołał. Kiedy po październiku 1956 roku wrócił do kraju z londyńskiej emigracji, badał skutki powojennej reformy rolnej. Nie słyszałem, żeby ją potępiał.

Juliusz Poniatowski, obok Eugeniusza Kwiatkowskiego, swego rządowego kolegi, i Henryka Józewskiego, swego przyjaciela, należał do czołowych postaci tego nurtu reformatorskiego pierwszej połowy wieku XX, dla którego wizja *szklanych domów*, czyli Polski wyzwolonej z oków niewoli społecznej i narodowej, a tworzącej nową cywilizację, nie była imaginacją symboliczną, lecz zobowiązaniem osobistym. Kwiatkowski, budowniczy Gdyni i patron gospodarczej modernizacji Polski, jest najszerzej znany i odświętnie czczony. Józewski, rzecznik porozumienia polsko-ukraińskiego i twórca tak zwanego *eksperymentu wołyńskiego*, częściej zaczyna być przypominany, zwłaszcza dlatego, że może być jednym z patronów pojednania. Do Poniatowskiego natomiast nikt się nie odwołuje i nawet ludowcy o nim nie pamiętają, więc tym śmieiej się o niego upominam. Nurt ten także w oficjalnej polityce przedwojennej był marginalizowany i wyjątkowo tylko przebijał się do jej centrum, z polityki powojennej został wyeliminowany, choć akurat ci trzej jego przedstawiciele, i nie oni jedni, zważając na zło systemu, byli gotowi pracować dla dobra kraju i społeczeństwa. Neopozytywistów, jak ich nazwano po roku 1956, były naprawdę tysiące, jeśli nie miliony, i każdy, kto przeżył świadomie tamto półwiecze, miał ich w sobie lub blisko siebie. Dąbrowska, obserwując wtedy Poniatowskiego, napisała tak: *W każdej sytuacji, jakkolwiek byłaby zła, jest jakaś na coś szansa. I w obecnej sytuacji Polski jest szansa. Być może większa niż kiedykolwiek w dziejach.* W ostatnim zdaniu się pomyliła, gdyż taka szansa pojawiła się dopiero po roku 1989, ale w roku 1958, kiedy to napisała, nikt na całym świecie, nie tylko w Polsce, takiej możliwości nie przewidywał. W życiu społecznym i kulturalnym II RP nurt ten miał spełnienia emblematyczne – w Wolnej Wszechnicy Polskiej i w osiedlach społecznych, w uniwersytetach ludowych i w spółdzielczości, w teatralnej „Reducie” i w korczakowskich „domach sierot”, w Instytucie Gospodarstwa Społecznego i w warsztatach sztuki użytkowej, a nawet w pierwszym zespole filmu artystycznego „Start”. Dziś prawie zapomniany i dość obezwartościowany nurt ten powinien zostać przywrócony naszej kulturze narodowej oraz historii współczesnej, przynajmniej na stulecie odzyskania niepodległości, gdyż bez niego i jego protagonistów, od Edwarda Abramowskiego alfabetycznie poczynając, a na Stefanie Żeromskim kończąc, nie byłoby Niepodległej, a na pewno nie byłaby ona tak demokratyczna, jak u swego zarania była. Przywrócenia tego nie dokonam, rzecz jasna, sam jeden, i to uwagą uboczną, stawiam sobie tutaj jednak zadanie nieporównanie bardziej skromne, proporcjonalne poniekąd do wielkości naszego ganku, będącego właściwie ganeczkiem, z którego spoglądamy na scalone pola i łąki. Chcę mianowicie przypomnieć, czym były *poniatówki*.

Ale co to wszystko ma wspólnego z dziadkiem Gawronem, poza tym, że jego gospodarstwo należało do kolonii i znajdowało się na gruntach scalonych? Dziadek był obyty, nacytany i nagadany, a jednak o ministrze Poniatowskim nigdy nie wspomniał, choć na moje oko łączyło go z nim tajemne powinowactwo. Na dodatek ani on, ani ja nie mieszkaliśmy w *poniatówkach*, lecz w starych chłopskich chatach i w naszej wsi tych *poniatówek* nie było. Słowo to zresztą właściwie zanikło i nie notują go oficjalne słowniki współczesnej polszczyzny, lokalnie natomiast ma się całkiem dobrze i kiedy tylko, prowadzeni przez nie, zaczniemy żeglować po internetowej sieci, natrafimy na liczne jego desygnaty, i to w tych regionach, które mnie zaskakują. Mianowicie w Wielkopolsce i na Pomorzu mamy całkiem okazałe skupienia *poniatówek*, na przykład we wsi Świątkowo powiatu żnińskiego, w Bietowie na Kociewiu, gdzie powstała nowa wieś Bietowo-Kaliska, czy w Jeleńcu, między Toruniem a Chełmem, a są to przykłady wybrane, dalekie od kompletności. Czym były *poniatówki*? Nowoczesne, jak na lata trzydzieste zeszłego stulecia, zagrody wiejskie, składające się z budynku mieszkalnego, stodoły i obory, które stawiano tam, gdzie rozparcelowano wśród chłopów ziemskie dobra państwowe lub prywatne. Ich wielkość dostosowywano do wielkości nadziei ziemi na gospodarstwa średnie (od 7 do 16 hektarów), a budowano je na miejscu w parę tygodni. *Poniatówki* bowiem były to inspirowane przez styl góralski, lecz lokalnie adaptowane, zgrabne domy z bali świerkowych wysokiej jakości, których elementy wytwarzano na Podhalu, a składano na miejscu. Dach lekko u dołu łamany, aby dać szerszy okap, upodabniał je do dworców, że jednak były niewielkie, przeznaczone dla jednej rodziny chłopskiej, więc wydają się udaną syntezą stylową. Najważniejsze jednak jest to, że ich żywotność obliczano na lat trzydzieści, a są miejsca, w których stoją lat prawie osiemdziesiąt i mają się dobrze. Pisze się o nich lokalnie tak:

System. Budownictwa, kredytowania, uwłaszczania itd. Dla niemających wręcz biednych ludzi. Kto dzisiaj z polityków tak myśli?

Polska jest krajem pomników. Wodzów na ogół przegranych bitew, ludzi pomordowanych i tak dalej. Nie ma miejsca na zgoła inny pomnik, taki w wymowie pozytywistyczny – pomnik Juliusza Poniatowskiego z tabliczką: Dziękujemy, Panie Ministrze⁴.

Pomnik taki ze stosowną tabliczką można by również postawić w naszej gminie, odnalazłem w niej domki z odpowiednimi zagrodami i to w miejscowości o wymownej nazwie Rynek. Stoją równym rzędkiem naprzeciw dawnego folwarku, który w ramach powojennej reformy rolnej został rozparcelowany. Stylistycznie są to *poniatówki*, mają podobne jednorodzinne

⁴ <http://Kociewiacy.pl/gminy/lubichowo>.

rozmiary i daszki z łamanym okapem, materialnie natomiast pobudowano je z czerwonej cegły, nie ze świerkowych czy sosnowych bali. Cegła to przemysłowa, dachówka również wypalana, nie zaś gliniane czy cementowe samoróbki, co, jak cała ta lokacja, świadczy o planowym charakterze przedsięwzięcia. Domki mają się jeszcze równie dobrze, jak te na Pomorzu, choć ich stan zależy od sił i możliwości, przeważnie podeszłych wiekiem, gospodarzy, którzy już ziemi raczej nie uprawiają. Nie udało mi się ostatecznie ustalić, kiedy zostały pobudowane – mówiono, że w latach pięćdziesiątych zeszłego wieku, kiedy zakładano tam tak zwaną spółdzielnię produkcyjną. Jeśli tak – byłoby to wyjątkowe świadectwo pośmiertnego oddziaływania dawnego, dobrego wzoru na złą praktykę niweczającą jego właściwe osiągnięcia. *Kolektivnoje chaziajstwo*, czyli *kołchoz*, miało przecież zastąpić rodzinną gospodarkę chłopską. Nazwa *poniatówki* nie jest tu już pamiętana, podobnie jak targi w Rynku, które ostatnio zapewne odbyły się kilkaset lat temu.

Dziadek Gawron, jak mnie dopadł przy tym rąbaniu drzewa, tak mnie dopadał często i zrobił sobie ze mnie uczniaka nie opornego, lecz wdzięcznego. Jego instrukcja, żeby siekierą uderzać skośnie, sprawdziła się zaraz, bo od pierwszego razu poczułem, że skuteczność uderzenia jest większa, a wydatek mocy mniejszy. Gdy się wali prosto, z oklepanej całej siły, to miąższ drewna się właściwie miążdży, a nie przecina i, co gorsza, rozerwane tak kawałki, odskakują od siebie bezładnie, o czym wiedziałem od dawna, bo ongiś jeden taki o mało mi oka nie wybił, ale niczego z tym zrobić nie umiałem, najwyżej zasłaniałem twarz wolnym ramieniem. A tu, proszę, parę celnych słów i celność cięcia niezrównana, na dodatek przecięte kawałki nie wyskakują w powietrze, lecz potulnie opadają po obu stronach pieńka! Rzecz jasna nauka ta przydała mi się nie na ten jeden raz, pod okiem nauczyciela, lecz na całe dalsze życie i właściwie weszła mi w krew, ilekroć bowiem biorę siekierę do ręki, co niestety zdarza mi się coraz rzadziej, to nie tylko umysłowo przypominam sobie dziadka Gawrona, ale i zmysłowo ustawiam członki ciała. Tych nauk, jak w pradawnej eposie epickiej, była cała encyklopedia i wszystkich ich tu nie przedstawię, bo ich nie zapisywałem, lecz w życie wcieślałem, czyli, jak należało we własny umysł i zmysły. Ponieważ całe życie się zmieniło, więc i tamte nauki, jako zbędne, nie tyle zostały porzucone, ile właściwie zapomniane, a tylko w moim ciele dają czasem znać o sobie.

Komu jeszcze dzisiaj potrzebna jest wiedza o tym, jak ustawiać się przy koźle i ciągnąć do siebie lekko piłę ręczną, nie dociskając jej ani nie popychając, żeby wspólnie z partnerem wpaść w płynny rytm, który sam piłę niesie i ręczne piłowanie czyni wytchnieniem? *Moja – twoja, moja – twoja, moja – twoja!*, skanduje kpiarsko niezastąpiony pan Tazio, z którym spalinową *husquarną* rżniemy drewno na zimę. Piła dwuręczna, którą podarował mi dziadek Gawron, przez niego jeszcze ostrzona, stanowi ozdobę mojej kolekcji, ale nikt jej od lat nie używał. Po co zresztą uczyć się pilnikiem przemiennie ostrzyć zęby takiej piły, skoro jest

to potrzebne tylko amerykańskim hobbystom. *The satisfaction coming from taking a dirty saw that you just bought at a flea market for 5\$, and then restoring it to perfect working order cant'be described* – czytam w odpowiednim internetowym linku zatytułowanym *Saw Filling – A Beginners Primer*. Wszyscy teraz mają piły łańcuchowe i nawet trzcinę do łatania poszycia taką tniemy, a wtedy tylko w całej okolicy miał ją ten, któremu syn przywiózł z zagranicznego stypendium. Był to jeden z najlepszych gospodarzy, zaliczany do miejscowej *wielkiej czwórki*, dziś na dożywociu u córki w mieście, swojego dobra strzegł wtedy jak żrenicy oka, tylko mnie raz coś pociął, bo taki miejskowiejski pisarz może się przydać do napisania jakiegoś podania i podań takich napisałem zgrabną antologię, czasem przyjmując, wstydliwie wyznając, kurczaka lub mendel jaj za honorarium. Nikt też osełką z piaskowca, trzymaną u pasa w wypełnionej wodą pochewce, nie ostrzy kosa, gdyż kosa służy tylko do symbolicznych dekoracji i nawet podwórkowe trawniki przycina się kosiarkami mechanicznymi, i to nawet przed ogrodzeniem, przy drodze publicznej, co oznacza obyczajowy tutaj przewrót. Jakieś dziesięć lat temu pisałem, że o dobro wspólne tak dbają tylko Niemcy pod Opolem, a teraz, proszę, dbałość doszła i na północno-wschodnie Mazowsze. Ciekawe, czy to wraz z mechaniką, czy też z tym, że tylu młodych buja teraz po świecie?

Tak się rozumnie składa, że kowal Gawron przypomina mi się głównie z naukami odnoszącymi się do metali, ale jego mądrość obejmowała wszelkie gospodarskie dziedziny i obfitowała w nauki niezrównane, które jednak wykorzystywałem wybiórczo, czego ciągle żałuję. Usprawiedliwia mnie jednak to, że przemieszczałem tam sezonowo, a nie stale, i tylko udawałem gospodarza, nie będąc nim naprawdę. Wiecie, co jest największą plagą gleb piaszczystych, takich jak nasza? Perz, który pleni się jak szarańcza i mackami podługowatych korzeni wysysa resztki wilgoci z ziemi, uśmiercając posuchą swoich konkurentów. Po kolana w tym piachu i po łokcie w gruncie, wrywałem go dawniej zażarcie, pazurami własnymi wyciągałem rozciągliwe korzenie, ładowałem całe ich zwoje na taczkę i wywoziłem do pobliskich dołów, wykopanych przez tych, co akurat potrzebowali żwiru. Wszystko po to, aby przed domem, jak należy, mieć ogródek warzywny, podstawę ówczesnego letniego pożywienia i ozdobę sadyby, którą stanowiło również kartoflisko. A wiecie, co jest największą słabością strzechy? Jej szczyt, czyli linia styku dwóch połaci dachu, tradycyjnie nazywana *kalenicą*, po sukcesywnym pokryciu obu połaci warstwami słomy, dająca zawsze podłużną szparę. Zakrycie tej szpary tak, żeby szczyt nie przeciekał, pozostaje osobnym zadaniem i wiele ich przerobiłem, prędzej czy później doznając porażki. Na słabość tę nie ma, przynajmniej w naszej piaszczystej okolicy, sposobu lepszego od podpowiedzianego mi ongiś przez dziadka Gawrona. Trzeba wykosić perz przed kwitnieniem, przesuszyć jak siano i pokryć nim kalenicę strzechy, tak uważnie, jakby się cesało grzbiet psa długowłosego. Żdźbła perzu są żyłaste jak ścięgna i elastyczne jak żyłka wędkarska, uszczelniony nimi szczyt przetrwa dłużej niż sama strzecha.

I ja to dobrze wiem od lat, choć nigdy tego nie zrobiłem, bo zamiast słuchać wiekowego doświadczenia i wykorzystać przeciwnika do własnych celów, wdałem się w zacieklą z nim walkę, której marny dla mnie koniec był przewidywalny – na miejscu ogrodu warzywnego mam dzisiaj dorodne perzowisko, zaś rana w kalenicy poszerza się z roku na rok. Z tego głośnego przypadku wynika jakaś, godna Machiavellego, mądra nauka, ale nie wiem komu i po co ją przekazywać. Wszyscy prawie wokół zajmują się głównie konkursami grantowymi oraz listą cytowań, a tych, którzy wielkodusznie czytają klasyków, coraz trudniej spotkać. Chociaż takie amatorskie kółko, na peryferiach stolicy, udało nam się jeszcze stworzyć.

Fragment całości roboczo zatytułowanej *Trumna chłopska*

Z dziadkiem Gawronem zbliżyły nas psy, o czym już napomknąłem – my mieliśmy Pucka, a dziadek – Kruczka. Pucek nasz pochodził z przytułku i był niewątpliwym mieszańcem, czyli kundlem, lecz wyraźnie podrasowanym – wyżeł niemiecki, weimarski albo czeski fousek, w każdym razie cudo, urodziwe, grafitowe wyżlisko, wzniesione na skocznych jak sarnie cewki łapach, z lekko kudłatym, brodatym łebkiem, o zwisających uszach i po ludzku wymownych ślepiach. Kruczek – przyziemny, wielobarwnie łaciaty i krzywonogi, nie był tak urodziwy, ale miał wdzięk starego wiejskiego burasa, którym można się było zachwycić, ślepiami łapał spode łba, jak taki, co wie, lecz byle komu nie powie, za to swojaka wyczuwał na milę. Pucek też był mądry, jeden i drugi pretendowali przecież do miana najmądrzejszych psów świata, chociaż ucieleśniali dość różne rodzaje mądrości. Kruczek od pokoleń niewątpliwie wiejski, Pucek zaś mieszany, trochę myśliwski, więcej włóczęgowsko miejski. Wiedza dawnego wiejskiego kundla, będącego psem łańcuchowym, była dość prosta, ponieważ miał on do czynienia z sytuacjami prostymi – powinien być zły i głośno ujadać, a kiedy należało – rzucać się na obcego. Żeby był zły, głodzono go i bito, dlatego poza swoim podwórkiem uciekał przed każdym, kogo kojarzył z kijem lub kamieniem, i szukał żeru, gdzie się dało, nie gardząc gnojówką. Kruczek tę odwieczną wiedzę nosił w sobie, ale mając pana niezwykłego, pędził też żywot niezwykły, czemu zawdzięczał to, że był nie tylko sprytny, ale i mądry. Dziadek Gawron psa swego mianowicie nie wiązał, dużo z nim chodząc, rozmawiał, na dodatek wrota u niego były otwarte i w ogrodzeniu nie brakło tajnych psych przejść. Dlatego Kruczek, jak żaden inny tutaj pies, biegający swobodnie całymi dniami, inne bowiem najwyżej spuszczano z łańcucha nocą i to w zagrodzie, czuł się nie tylko panem swojego podwórka, ale i całej tej okolicy, którą obiegał i uważał za swoją, kładąc znaki posiadania, tam gdzie zechciał i uznał za konieczne. Sikał zresztą potężnie, jak Guliwer w kraju Liliputów, a kupy walił spiętrzone, jak chłop od kosy.

Pojawienie się więc intruza, którym był wyrosnięty już Pucek, bo wcześniej na szczeniaka Kruczek nie raczył zwrócić uwagi, bardziej rączego i równie dowolnie buszującego, gdyż

ogrodzenia u nas prawie nie było, więc gościom czasem mówiłem, że nasza działka jest tak rozległa, jak okiem sięgnąć, zrodziło rywalizację zażartą, kulminującą nie w odświętnych walkach o samicę, lecz w codziennym dostępie do żeru, którą, rzecz jasna, wygrał Kruczek, choć to Pucek był wieloboistą. Współzawodnictwo tych dwóch godnych siebie rywali rozgrywało się wtedy, kiedy żywienie psów i ludzi stanowiło polską sztukę walki, wymagającą specjalnego treningu i wyszukanych chwytów. Nie było przecież tak, żeby coś można było kupić zwyczajnie, zawsze trzeba było użyć fortelu wzmacniającego pozycję na rynku jednostajnie szarym, a mogło nim być, na przykład *Przeminęło z wiatrem*, jego liczne edycje publikowało wydawnictwo, w którym pracowała Ania. Nabywaliśmy je u źródła po zniżonej cenie, jeden zapasowy egzemplarz mieliśmy zawsze pod ręką i nie pamiętam już wszystkich okazji, w jakich się on przydał, ale można powiedzieć, że były one wszelakie. Czar tej ludzkiej opowieści o końcu amerykańskich czasów pełni i harmonii działał z równą mocą na dentystkę i hydraulika, urzędnika i mechanika, przedszkolankę i milicjanta, zadziałał również w specjalnym sklepie mięsnym, gdy chodziło o karmę dla psa. Karma taka zresztą wtedy nie istniała, a w normalnych, czyli ludzkich sklepach mięsnych, wyskrobywano do cna wszystkie kości, podroby i skrawki. Udało mi się jednak wykryć na jednej z praskich ulic jatkę końską, której sklepową zjednałem sobie dzięki jej słabości do Retta Butlera. Przywoziłem stamtąd całe torby kości płaskich i szpikowych, z którymi Pucek, po zgotowaniu, mocował się godzinami, a kiedy już nie dawał rady, wtedy zakopywał je na polu. Kruczek swoim bystrym oczkiem baczył na te smakowite zmagania z wyniosłej odległości, a kiedy nasycony i sterany Pucek zapadał w senną niepamięć, wtedy rozważny buras kość wykopywał i zabierał do siebie. Bezradność mojego lotnego wyżła, który nazajutrz przeorywał łapami cały zagon, aby swoją żelazną rację odnaleźć, do dziś wprawia mnie w zawstydzenie.

Ponieważ nie tylko Pucek, ale i wszystkie nasze psy pochodziły z przytułków, więc badałem ich właściwości przez kilka dziesięcioleci i mógłbym o nich napisać rozprawę psychospołeczną. Psy bowiem niewątpliwie mają swoją nieświadomość oraz świadomość, czyli to, co psychologowie nazywają psychiką, i są też istotami społecznymi, zarówno w swoich więziach międzypsich, jak i międzyludzkich. Niezależnie od tego, jakiej są rasy, albo też jakich ras mieszańcami, i niezależnie od płci, czyli zarówno osobniki żeńskie i męskie, psy schroniskowe mają pierwszorzędne cechy wspólne, a różnią się między sobą dopiero drugorzędnie, zależnie od swojej genealogii i biografii. Wszystkie bowiem cierpią na chorobę sierocą, nawet jeśli szczenięce tygodnie spędziły przy matce i w jednym z nią gnieździe. Kto widział te długie rzędy zadrutowanych klatek, przypominających psi obóz koncentracyjny, wiedzieć musi, że wyjść z nich nie można bez urazów i dygotu wewnętrznego, dającego o sobie znać po latach najlepszej opieki. Pucek nasz nie ssał rogów poduszek i nie podgarniał pod siebie każdej derki, ale, choć zasadniczo pogodny, diapazon nastrojów miał wysoki i nigdy nie było

pewne, czym nagle odpali. Szczęśliwie nie rzucił się na nikogo zniecka, co takim psom się przydarza, choć ludzi straszyl i niektórzy bali się go panicznie.

Drugą wspólną cechą pierwszorzędną takich psów, jak dzieci adoptowanych, będącą odwrotnością i dopełnieniem choroby sieroczej, jest ich dziecięca wrażliwość i matczyna czułość. One lęk istnienia mają w oczach, lśniących chwilami łzawą wilgocią i wpatrzonych w tych, którym zaufały. Każde oddalenie przyjmują dramatycznie, zaś każde zbliżenie z pożądaniem, zawsze pragnące pieczyoty, nigdy jej pierwsze nie przerwą. Bywało, że Pucusz sypiał ze mną całą noc, a przednie łapy tak wyciągał, iż prawie mnie obejmował, nieraz też zimą, w zamrożonych przedziałach pociągu, którym się do nas jeździło, siedzieliśmy twarzą w twarz i ogrzewaliśmy się oddechami. Od pokoleń zapewne miejski włóczęga, nagle na spacerze odwracał kufę i rzucał mi wykrętne, pożegnalne spojrzenie, po którym oddalał się do siebie tylko znanych zakłętych rewirów, co zresztą przyczyniło się później do jego zguby, nigdy nieodżałowanej, choć jego następczyni były i są prawdziwie kochane.

Pucek swoją skłonność do odpalania ujawnił, ledwie tylko pewniej wstał na nogi, czyli na swoje cztery smukłe łapy. Byliśmy na wsi, chyba pod koniec października, czyli miał on wtedy jakieś pół roku i był daleki od dorosłości, ale nagle, tuż przed zmierzchem, zniknął mi z oczu. Czekałem i nawoływałem, krążyłem wokół i pogwizdywałem, ale nic to nie zmieniło, dopóki z mroku księżycowej nocy nie wyłonił się dziadek Gawron prowadzący moją zgubę na krótkim postronku i wtedy poczułem, że mam w tym barwnym sąsiedzie niezawodne oparcie, choć powinienem to wiedzieć od pierwszych dni, bo kiedy trzeba było wyjść na poranny pociąg, to dziadek już o czwartej łomotał w okiennicę. W mieście, z kolei, Pucek pierwszy raz odpalił trochę później z zimowego już, wieczornego spaceru i nie było go dobre pół nocy. Żadne bezpośrednie poszukiwania nic nie dały, sąsiada takiego, jak dziadek też nie mieliśmy i pozostały nam tylko płacz i zgrzytanie zębów oraz bezradne czekanie na wyrok losu. Mieszkaliśmy wtedy na drugim piętrze blokowego wysokościowca, a ten miejski cwaniak, gdy wrócił, usiadł tak przebiegle, że swoim szczekiem trafił w moje okno, obudził mnie i zmusił, żebym zszedł do bramy i go wpuścił. Jak widać, od małego zapowiadał się na nocnego kowboja, a kiedy zginął ostatecznie, pocieszaliśmy się, że Pucusz odszedł w krainę wiecznych łowów, którą była dla niego wielkowiejska dżungla.

Wspomniałem już, że wzięliśmy go z przytułku, parotygodniowego szczeniaka od cycka matki, a tak był słaby, że na pierwszych spacerach słaniał się i popiskiwał prosząco, więc trzeba było brać go na ręce. Przez lato oczywiście podrosł i się wzmocnił, jesienią zaczął już odpalać, a zimą dokonał pierwszych myśliwskich wyczynów godnych osobnej kroniki, z której kopiuję tylko niektóre barwne malunki. Trzeba wiedzieć, że żaden pies, nawet najbardziej rączy, nie dogoni zająca, a najwyżej go zagoni, czyli wystawi, i do tego zazwyczaj służyły psy gończe różnych ras, z których najlepiej znane są mickiewiczowskie charty z *Pana*

Tadeusza, ośmieszające swoich właścicieli, wierzących w to, że łapią one zające. Otóż dorosły Pucek, w pełni swoich sił i sprawności, zające, których zresztą dawniej była u nas mnogość i nierzadko spod nóg nam wyskakiwały, gonić potrafił kilometrami i nigdy nie ustawał, co każdy inny pies robi stosunkowo wcześniej, gdy pojmie, że jest skazany na porażkę. Pucek w myśliwskim szale płynął w powietrzu wyciągnięty jak struna i tylko pojękiwał zmysłowo, kiedy czuł nosem cuch zajęczy, ale wtedy szarak robił nagły zwrot, na którym zyskiwał kilkanaście metrów, bo tyle tracił rozpędzony wyżeł, zanim zmienił kierunek, a to wystarczało, żeby zwierzak wpadał do boru, w którym pies zawsze się gubił i za jakiś czas, niepyszny, wychodził z niego ze zwieszonym łbem. Parę razy, to znaczy dosłownie dwa, naszemu psu udało się dopaść zająca w otwartym polu, za pierwszym razem ścigany potknął się o dołek i stracił swój rytm, za drugim jednak, co przyznaję ze skruchą, ja skołowałem szaraka, rzucając węń krążkiem, który akurat miałem w ręku. Zdzisiek ochoczo zwierzaka oprawił, gdyż ja nie miałem o tym pojęcia, jego mama upiekła go na chrupko, dodając pyszne buraczki i zjedliśmy obiad rodzinny z niezmaconym apetytem. Przypadkowe kłusownictwo należało u nas wtedy do sposobu bycia, tak samo jak kopanie żwiru według potrzeb i ściąganie drzewa z lasu. Oczywiście chłopski serwitut, czyli to, co z darów przyrody nam się naturalnie należy.

Uprawiano jednak nie tylko kłusownictwo przypadkowe, lecz także zawodowe, o czym mieliśmy się dość boleśnie przekonać na skórze własnej, czyli Pucka. Opinii o tym, że był najmądrzejszym psem świata, nie wygłaszam z głębi serca i gołosłownie, lecz opieram ją na doświadczeniach wszechstronnych, w tym i takich, które można określić jako ekstremalne. Dodać muszę niestety, że wszystkie swoje dobre cechy nasze psy zawdzięczały głównie same sobie, gdyż nasze osiągnięcia wychowawcze z nimi były mizerne i dosłownie naskórkowe, ograniczone właściwie do troskliwego wyczesywania sierści. Wszelkie ambicje z tym związane straciłem wiele lat temu, kiedy, jeszcze na Targówku, zapytałem sąsiada często spacerującego z wilczurem, jak on to robi, że pies go słucha, skoro mój prowadzi mnie, jak chce i gdzie chce. Facet chodził ze swoim bez smyczy, polecenia wydawał szeptem, nie słyszalnym dla obcych, a pies za nim trop w trop. Jakiś taki paramilitarny w stroju i postawie, na moje zagadnięcie warknął niechętnie:

– Trzy lata skoszarowania.

Rzecz jasna takiego wychowania nie pragnąłem, ani też nie było mi ono dostępne, więc Pucek swoją edukację zawdzięczał głównie samemu sobie, ja co najwyżej starałem się ją empatycznie wspomagać. Z tymi psami przygarniętymi jest bowiem tak, że nie zna się ich genealogii i trzeba ją sobie odtwarzać, obserwując odruchy i zachowania. Pucek przez parę pokoleń wcześniejszych był niewątpliwie psem myśliwskim, chociaż raczej na ptactwo wodne niż zwierzynę łowną, pływał bowiem wyśmienicie i kaczki, a nawet bekasy, które jeszcze wtedy u nas strzelały w niebo, wystawiał wyśmienicie. Stójkę robił samorzutnie a popisowo,

chrapkami chwycił wiatr, łapkę przednią udatnie podnosił, grzbiet cały przeżył równo z wypiętym ogonem, a kiedy wychodziliśmy na łąki lub piachy, czyli w jego obwody łowieckie, wtedy wydawało się, że każdy nerw w nim gra, a każdy włos się skrzy. Z odziedziczonych myśliwskich nawyków miał jeszcze i to, że choć chronicznie głodny, jak wszystkie psy z przytułku, które historycznie, bo od pokoleń, są głodne, co je łączy zresztą z wiejskimi burkami, nigdy złapanej zwierzyny nie nadgryzł, nawet nie skaleczył. Kunie podkamionce, którą dopadł w drewnitni, pod koniec pierwszej zimy stanu wojennego, kiedy prawie o zmierzchu dojechaliśmy na miejsce, a ja poszedłem po rozpałkę do pieca, skręcił kark tak biegle, że nie zrobił dziury w futerku, i położył mi ją pod nogi. Latem następnego roku, biegnąc ze mną jadącym na rowerze, wyrwał mi raptownie smycz z ręki i wskoczył do zagajnika, w którym poczuł jakieś ptactwo. Zanim zdążyłem rzucić rower i pobiec za nim, z lasku doszło mnie rozpaczliwe gulgocie indyków i ujrzałem wzlatujące nad drzewkami kłęby pierza. Wpadłem w rozpacz, gdyż nie wiedziałem, czy w ogóle uda mi się powstrzymać brytana, który w zbrodniczym amoku dusił młode indyki pasące się tam swobodnie ze swoimi rodzicami. Kiedy wreszcie złapałem go wpół i ujarzmiłem, wyjmując z pyska kolejną ofiarę, okazało się, że zdążył zabić ich cztery, a czynił to z wprawą starego myśliwca, ptaków nie kalecząc, lecz skręcając im karki, i odkładał je na ziemię, aby jego pan zebrał łowieckie żniwo. Byłem przekonany, że tak oto rozsypały się w proch i pył wszystkie moje dobrosąsiedzkie starania, czarna o nas legenda będzie zataczać coraz szersze kręgi, właścicielom indyków nigdy nie zdołam się wypłacić, a ponadto mogą oni zażądać uśmiercenia tego zbrodzenia lub też uśmiercać go sami. Mieli u nas dawniej w zwyczaju wieszanie psów, a drzew w lesie był dostatek.

I z tej opresji wyprowadził nas dziadek Gawron, najpierw opowiem jednak o wybawieniu z sytuacji ekstremalnej. Nie zdawałem sobie początkowo sprawy, jak rozwinięte było w tej leśnej okolicy zawodowe kłusownictwo, dopóki sam poniekąd we wnyki nie wpadłem. Nie słyszało się wprawdzie, żeby gdzieś po puszczy krążyli dzicy łowcy, samopałami czy obrzynami polując na grubego zwierza, siდეł jednak było całkiem sporo, a stawiane były głównie na sarenki i zające. Pętlę z elastycznego i śliskiego stalowego drutu wiązano do pnia drzewa, na zające tuż przy ziemi, na sarenki odpowiednio wyżej. Działała niezawodnie, bo jeśli zwierzak wpadł w nią nogą lub głową, ściągała się błyskawicznie tuż przy ciele i albo go dusiła, albo przytracała. Jak się później przekonaliśmy, na zwierzęcych ścieżkach leśnych sidła stawiano gęsto, prawie jedno przy drugim. Pucek podczas swoich wędrówek wpadł już raz w nie łapą, ale drut przegryzł i wrócił do domu z samą pętlą zaciśniętą ponad stopą. Drugi przypadek był śmiertelnie groźny, a miał miejsce dość niedaleko od naszej sadyby, w osinowym gąszczu, w którym o właściwej porze roku zbieraliśmy dorodne osaki. Pewnego letniego ranka gdzieś stamtąd doszedł nas nagle histeryczny jakby szczek Pucka, gasnący w żalonym pisku, jakiego nigdy przedtem u niego nie słyszałem. Ruszyłem tam biegiem, po drodze zabierając

dziadka Gawrona, gdyż to była jego strona i wszystkie ostępy, gąszcza i zagaje znał on tam na wylot. Pies jednak nagle ucichł, jakby mu mowę odjęło, i za diabła nie wiedziałem, gdzie iść, sądząc też, że odpalił gdzieś dalej, i prędzej czy później wróci sam, jak to już bywało. Ale dziadek grozę sytuacji wyczuł siódmym zmysłem i nieomylnie poprowadził mnie w osinowy gąszcz, sobie tylko znaną steczką. W głębi ostępu, na środku ścieżki Pucek siedział skamieniały jak Sfinks, z pętlą zaciśniętą na szyi. Żył jeszcze, ale kiedy do niego podeszliśmy nawet nie pisnął, gdyż już wiedział, że nie tylko każdy ruch ciałem, a nawet łyk powietrza w tej pętli niesie ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo. Tylko najmądrzejszy pies świata mógł taką groźbę pojąć w mgnieniu oka, kiedy histerycznie szczeknął i pisnął. Przywrócony wtedy życiu dzięki dziadkowi, ponownie został uratowany, a z nim my wszyscy, gdy okazał się seryjnym mordercą indycząt. Zupełnie bowiem nie wiedząc, jak z tego okropieństwa się wydobyć, wołałem oczywiście Gawrona na pomoc, której nie odmówił i wstawił się też za mną osobiście.

– Cza wzionć – orzekł – te ptaszule i pójść do gospodarzy! Jo póde s woma!

I tak w samo południe, ramię w ramię pomaszzerowaliśmy do tamtej wsi, ja dzierżąc, niczym wstydlive trofea, dwa martwe indyki w każdej ręce, a dziadek na krótkiej smyczy prowadząc winowajcę, który wydawał się całkiem z siebie zadowolony. Że jednak droga nasza wiodła na Jelenie, więc dziadek, który wszędzie był i wszystko wiedział, uraczył mnie opowieścią o powstańczej bitwie, która w tamtej stronie miała miejsce.

– W południe – zaczął wyraźnie, dbając o szkolnie poprawną wymowę – martwa była wokół cisza, bo nasi, zajmując pozycje po obu stronach drogi, pokładli się w lesie, a co poniektórzy, to, panie, mając nockę nieprzespaną, i posnęli sobie. Wiedzieliśmy, że tamci muszą iść tą drogą, przez Jelenie na Stok, bo innej na Małkiń nie mieli, chyba że polami i lasami, ale tam zgubić się łatwo i wpaść w partyzancką zasadzkę. A to myśmy im tutaj taką zasiadkę nastawili, że tylko patrzeć, jak w nią wpadną, w saczku ich potrzymamy, żeby do tego pociągu pancernego, gdzie wyglądał ich generał, który całym tym wojskiem dowodził, nie doszli. No, ale oni szli i szli, ale jakoś nie nadchodzili i kiedy ich szpica wreszcie do tej zasiadki doszła, to usłyszała chrapanie tego i owego. Stanęli z wrażenia i nie wiedzieli, co począć, ale dowódca napierał z tyłu i kazał iść, bo śmiech cofać się przed chrapaniem, i tak oni wleźli prosto na nasze karabiny, szable i bagnety i wtedy rozpoczęła się rzeźba, panie, krwawa, jak Pan Bóg przykazał! Nasz dowódca pierwszy strzelił dla sygnału, zaraz wypaliliśmy wszyscy, oni padli na szosę, aby zejść ze strzałów, no to wtedy weszliśmy na nich z bagnetami i szablami, pierś w pierś, łeb w łeb, braliśmy się za bary, rzucali o ziemię, skórę darli pazurami. *Walka stawiała się zmieszana, bezładna, dzika, wrząca w tłoku, zgiełku, gorącu, wśród wyziewów ludzkich i końskich. Trup padał na trupa, kopyta końskie grzęzły w drgających ciałach. Gdzieniedzie masy tak skłębity się, że nie było miejsca na zamach dla szabli; tam bito się głowniami, nożami i pięściami,*

konie poczęły kwiczeć. Tu i ówdzie ozwały się głosy: – dziadek ton patetyczny podnosił miarowo – „Pomyłujcie, Lachy!” Głosy te wzmagaly się, mnożyły, zagłuszały brzęk mieczów, zgrzyt żelaza o kości, chrapanie i straszną czkawkę konających...⁵

Zasłuchałem się i zatopiłem w dziadkowej opowieści, zapominając, skąd i dokąd odważnie, choć pokornie idziemy, zwłaszcza że zabrzmiała mi w niej jakaś znajoma nuta, po chwili dopiero rozpoznana jako sienkiewiczowska, ale czy można w ogóle po polsku opowiadać dawne wojny, bitwy i potyczki inaczej niż sienkiewiczowsko? Ta *krwawa rzeźba*, pomyślałem sobie, skąd ona przysłała do dziadka, jak nie z *Ogniem i mieczem*, który to rycerski epos o buncie chamów przeczytał on, może chłopcem będąc, tak jak mój ojciec w zaborze pruskim na początku tamtego wieku, gdyż byli z tego samego pokolenia? W zaborze rosyjskim czytać po polsku nauczył się pewnie jako samouk, gdy w Niemczech panował już obowiązek szkolny i mój ojciec chodził do szkoły, a tu łacińskie litery trzeba było składać samemu, w domowym lub parafialnym kółku. A jak mu pięknie te czasy się zbiegały i stapiały! – najpierw uważałem, że on mi opowiada partyzancką potyczkę z ostatniej światowej, bo w tej puszcząńskiej okolicy rozegrały się starcia pokaźne; zaraz potem uznałem, że uprzytamnia mi bitwę z powstania styczniowego, tak jakby sam w niej brał udział, a na koniec dopiero, że wysławia się frazą sienkiewiczowską, gminnoszlachecką, więc jakoś przedwieczną, z tego stopu czasów i języków czyniąc mit osobisty i legendę historyczną. Wydało mi się, że okiem własnym widzę tę bitwę powstańczą sprzed ponad stulecia, palba dudni mi nad głową, wokół dźwięczą klingi szabel i bagnatów, zaś mój sąsiad i przewodnik w jej środku wyrasta na zwycięskiego olbrzyma, któremu sumiaste wąsy powiewają nad ramionami w podmuchach śmiertelnego starcia. Byłbym może i sam odleciał w ten beczas mitycznego zmagania sił dobra z mocami zła, gdyby nie indyjskie ofiary, które trzymałem w rękach i o których nie mogłem zapomnieć, wiodące nas do nieuniknionego, twardego rozrachunku. Nie uwierzycie może, mając w głowach wszystkie te bajdy o chłopskiej chciwości i chytrłości, zapewniające rodzime i obce zakute łby, że właściciele tych indyków, owszem, odebrali odniesione ofiary, ale zapłaty żadnej nie chcieli przyjąć, jednego z nich nawet mi podarowali i rosół z niego należy do najcieplejszych wspomnień mojego życia. Ale nie roję sobie, że to mój wątpliwy urok na nich zadziałał, jestem natomiast pewien, że zawdzięczam to, wystawionej efektownie przez dziadka Gawrona, inscenizacji naszego pochodzenia przez wieś oraz jego heroikomicznej opowieści, której finału, nie po raz pierwszy zapewne, wysłuchali nasi gospodarze, kiedy już stanęliśmy na ich podwórku.

⁵ Wykorzystałem w tej opowieści dziadka Gawrona nie tylko *Ogniem i mieczem*, lecz także opracowanie Artura Millera, *Powstanie Styczniowe w Puszczy Białej*, Pułtusk–Ostrów Mazowiecka 2013.

Ale to może był łąbodzi śpiew naszego sąsiada i opiekuna, gdyż nawet rok nie minął i chata jego opustoszała, a on sam zszedł z tego świata, i to w sposób, którego wspomnienie gardło nam ściska, choć już minęło prawie pół wieku od tych wydarzeń. Najpierw jednak umarła Gawronka, prawie tak w życiu niewidoczna, jak nieobecna w tej opowieści zdominowanej przez jej męża. Wspomniałem ją raz tylko, pisząc, że nigdy nie wracała do domu bez naręcza chrustu ściągniętego z lasu, świadectwa gospodarskiej zapobiegliwości i dawnego chłopskiego przywileju. Nie mogę powiedzieć, że w swym domu została zepchnięta w cień, gdyż była w nim głównie obecna, tak jak jej mążonek brylował w sadybie i okolicy, ale razem ich się prawie nie widywało, a jeszcze i dziś opowiadają, że gdy przyszło im jechać w pole wozem, to nigdy nie siedzieli obok siebie, ramię w ramię, lecz zawsze osobno, tyłem od siebie odwrócen. Widzę ją, jak się krząta przy furkocącej ogniem kuchni i pod okapem, przesuwając hakami sagany z ziemniakami po fajerkach, a zagadnięta coś tam odpowiada mrukliwie – mała, sucha, pokręcona, niechętna sobie, ludziom i światu. Jakieś nieczytelne, postrzępione i powyrywane kartki dramatu rodzinnego, pełna asymetria obu małżonków, on gada bez przerwy i o wszystkim, ona milczy i fuka, zmarłe w dzieciństwie jedno dziecko, drugie w odległym mieście, wcześniej opuszczające dom rodzinny, ucieczka dla awansu, a może awans z powodu ucieczki? Gawronka zmarła nagle, w środku lata, nikogo poza nią nie było w domu, padła przy tej kuchni z garami lub obok niej, Gawron gdzieś daleko w polu czy w lesie, nawet nie w kuźni, może coś tam gdzieś prawi wianuszkowi chętnych słuchaczy, za swoją paczkę cudzysłów. Ania akurat zachodzi po jajka, czy może po gomółkę białego sera, gdyż ten Gawronka w swojej prasce wyciskała mistrzowsko, a tu gospodyni leży nieprzytomna i samotna na podłodze. Więc stupor, panika i alarm, szukanie Gawrona po świecie, wzywanie pogotowia, telefon na pocztę trzy kilometry rowerem, dzwonienie do syna, karmienie świniaków, bo gospodyni padła przy mieszaniu śruty z ziemniakami, południowe dojenie krówki, ziarno dla kur, fru, fru, cip, cip... maleńkie. Gawronka jeszcze żyła dobę czy dwie, przyjęła lekarza i księdza, syn zdążył przyjechać i niechętnie zajął się obrządkiem, od którego przymusu i obsługiwania ojca pewnie uciekł do miasta, a potem nocne czuwanie przy zmarłej, śpiewy, litanie, modły, jak zawsze tutaj, i pogrzeb na dobrze nam znanym cmentarzu. Dziadka Gawrona jakoś, z tych dni ostatecznego pożegnania jego żony, nie mamy w pamięci, mówiono tylko, już po pogrzebie, a nawet całe lata później, że kiedy chciał się zbliżyć do odchodzącej z tego świata małżonki, ta odepchnęła go od siebie twardymi jak zęby wideł, suchymi i zimnymi ramionami, a twarz od niego odwróciła na zawsze. Trochę tak, jak Zdzisiek ode mnie, tylko jeszcze mocniej, tym mocniej, im mocniejsza była ich więź wzajemna.

Niczego nie chcę tu demonizować ani też idealizować, wiem tyle, co dziś wie każdy psychoanalitycznie przetarty osobnik, że mianowicie relacje małżeńskie i rodzinne, więc najbliższe, w jakie ludzie ze sobą wchodzą, bez których zresztą ludzkie społeczeństwa nie mogłyby istnieć,

jak nie mogą istnieć bez zakazu kazirodztwa, kryją w sobie całe pokłady, jeśli nie otchłanie tajemnic, przeważnie ciemnych, mrocznych i brudnych, starannie ukrywanych przed obcymi i przed bliskimi, może przed nimi najbaczniej. Nie sędzę przy tym, żeby takie ciemne enigmy właściwie były tylko rodzinom królewskim, jak od tragedii greckich przynajmniej poucza nas literatura, przeciwnie – jestem przekonany, że w naszej kulturze patriarchalnej, ufundowanej pospołu przez Zeusa i Abrahama, są one właściwe każdej rodzinie, gdziekolwiek społecznie byłaby ona położona. To dlatego potomkowie niewolników mogą przejmować się tragedią Edypa, inteligenci chłopscy popadać w trwogę na przedstawieniu *Makbeta*, drobnomieszczańki litować się nad losem Fedry, nie mówiąc już o czytelniczkach i czytelnikach powieści nowoczesnej, która w swych przykładowych utworach jest sprozaizowaną tragedią rodzinną: *Manon Lescaut*, *Tom Jones*, *Wichrowe wzgórza*, *Dawid Copperfield*, *Ojciec Goriot*, *Pani Bovary*, *Anna Karenina*, *Bracia Karamazow*, na którym to tytule już poprzestanę. Zwracając uwagę na tę tożsamość struktur rodzinnych i właściwych im problemów, przynajmniej w kręgu kultury śródziemnomorskiej, domnimam równocześnie, że struktury te i problemy różnią się od siebie, zależnie właśnie od społecznego położenia rodziny: inaczej zachodzą w rodzinie właściciela niewolników i w rodzinie niewolników, pana feudalnego i chłopca poddanego, fabrykanta i robotnika. Grube te rozróżnienia potrzebne mi są po to, aby powiedzieć, że w tradycyjnej rodzinie chłopskiej, należącej do niedawnej, lecz odwiecznej przeszłości, ta fundamentalna relacja męża i żony, ojca i matki miała swoje cechy specyficzne, które chciałbym unaocznić. Może najbardziej wyrazistym ich przejawem było to, że dziadek Gawron po śmierci swojej żony, nad którą zdawał się w toku całego życia bezwzględnie panować, okazał się do życia samotnego i samodzielnego zupełnie niezdolny i dramatycznie je zakończył.

Jak się to dokonało, dowiedziałem się poniewczasie i pomyślałem sobie, że może lepiej byłoby dla dziadka, gdyby miał gołębie i dzięki nim może odnalazł się w sobie? Otwierałby im w południe gołębnik i wypuszczał na wolne loty, z ławeczki popatrując na ich podniebne krążenia, pykając z fajeczki i dumając o tym, co jest w niebie lub ponad nim. Ale dziadek, jak wiemy, nie pykał powoli, lecz pochłaniał papierosy, wysiedzieć nigdzie nie mógł, gdyż wirował jak fryga, a jeśli dumał o zaświatach, to o tym akurat nigdy nie mówił, ciągle o czymś mówiąc. Kiedy w domu i w obejściu zabrakło gospodyni, ugruntowana przez dziesięciolecia życia, ale chyba nie pożycia, asymetria ich wzajemnych relacji zwróciła się pełnym frontem przeciw niemu i można orzec, że zwała go z nóg. Co takiego wielkiego właściwie? Zapalić pod kuchnią, kawa z mlekiem na śniadanie, poranne dojenie dwóch krówek, pasza dla świnek, ziarno dla kurek, siano dla kasztanki, zarzutka na obiad, po obiedzie wiadomo, pod wieczór też, choć gnój trzeba jak zwykle wyrzucić i ściółkę wymienić, a wieczorem, jak rankiem: kuchnia, strawa, pasza, dojenie, spać z kurami. Niepostrzeżenie najpierw, potem wyraźnie, w końcu gwałtownie gospodarstwo jednak zaczęło się osuwać, a dziadek opuszczać.

Tu czegoś nie dogrzał, tam nie dosypał, ówdzie nie zadbał, niezadługo zaniedbania te zaczęły zachodzić jedne na drugie, zrobił się ich cały łańcuch, zaciskający starego kowala, a on zamiast go rozkuć, zaczął przed nim uciekać, zresztą całkiem dosłownie, bo do lasu, który od dziecka był mu drugim domem. Póki jeszcze była jesień, można było to tłumaczyć, a to grzybami, a to drewnem albo tarniną po pierwszych przymrozkach, chociaż krowy ryczały, świny kwiczały, a kasztanka tłukła w gródź kopytami. Kiedy jednak przyszła zima, sąsiedzi nie tak bliscy, lecz wiedzący, wezwali rodzinę, przyjechał syn z synową, zarządzili likwidację gospodarstwa, bo ani nie chcieli, ani nie mogli swoich miejskich zajęć rzucić, i zabrali dziadka do siebie, do bloku, wielkiego bloku na warszawskim Bródnie. Tam dziadek Gawron nawet jednej całej zimy nie przeżył, wpadł w osłupienie katatoniczne i na przedwiośniu dokonał życia w drewnickim psychiatryku.

A co z Kruczkiem? Zapomniano o nim zwyczajnie i pies pozbawiony swego pana odszedł w nieznane, żeby go odnaleźć. Ponieważ na tej dziadkowej zielonej łączce błyska zimnymi nocami tajemnicza srebrna poświata, więc jedni mówią, że to duch dziadka wraca do swojej sadyby, inni natomiast uważają, że to Kruczek wciąż jej strzeże. Chałupę przebudowano na letniak z tarasem i pojawiają się w nim niekiedy rośłe i smukłe prawniki.

PROSIMY O CYTOWANIE TEGO ARTYKUŁU JAKO:

Andrzej Mencwel, *Łączko, łączko, łączko zielona...*, „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media” 2015, nr 1 (4), s. 127–148.